

Karolina Teodozja Sarnowska z domu Dąbrowska

W OSADZIE WOJSKOWEJ KOLADYCZE NA ZIEMI BIAŁOSTOCKIEJ

Ojciec mój Teodozjusz Dąbrowski urodził się w 1900 roku w Wilnie. Pochodził z rodziny kolejarskiej. Rodzicami jego byli Maciej i Felicja Dąbrowscy. Jako uczeń gimnazjum wileńskiego należał do



Teodozjusz Dąbrowski (z lewej) jako legionista

tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) i brał udział w rozbrajaniu Niemców na Wileńszczyźnie. W 1918 roku był żołnierzem w oddziale konnym majora Jerzego Dąmbrowskiego. W 1920 roku, mimo młodego jeszcze wieku, walczył z bolszewikami jako legionista, dzielnie znosząc trudy walki. W tych licznych i niebezpiecznych potyczkach szczęśliwie uniknął ran, ale poważnie nadwreżył zdrowie.

Na początku 1923 roku został zdemobilizowany i oddelegowany do pracy w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Przydzielono go do Wydziału Wojskowego Urzędu Prezydenta RP Stanisława Wojcie-

chowskiego, którego biura mieściły się na Zamku Królewskim w Warszawie.

W październiku 1923 roku Teodozjusz Dąbrowski ożenił się z Jadwigą Werpichowską, pochodzącą z Podlasia. Zamieszkali w Pruszkowie koło Warszawy. Było to małżeństwo udane. Kochali się. Jednak nie trwało długo. Doznania na froncie dały o sobie znać w postaci niewydolności serca (niedowład układu krwionośnego). Po krótkiej chorobie 10 maja 1925 roku ojciec mój zmarł. Nie dane mu było ujrzeć swego dziecka. Ja urodziłam się 20 maja tegoż roku.



Jadwiga Dąbrowska, żona Teodozjusza (Warszawa, rok 1925)

Jeszcze podczas pracy w MSW ojciec złożył wniosek o przyznanie mu działki ziemi na prawach osadnictwa wojskowego. Tego rodzaju nadania przeprowadzano w ramach parcelacji majątków prywatnych i państwowych. Wniosek ojca został

uwzględniony. Działkę otrzymał w 1924 roku. obejmowała ona powierzchnię 20,04 ha. Położona była w osadzie Koladycze w gm. Piaski powiatu wołkowyskiego w woj. Białostockiem.

Do Koladycz przyjechaliśmy w 1928 r. (już po śmierci ojca) z dziadkiem, ojcem mojej mamy Franciszkiem Werpechowskim i bratem jej Józefem. Tymczasowo zamieszkaliśmy w domu pani Kornatowskiej, wdowy po byłym pułkowniku. Syn jej - wówczas student - był bardzo uprzejmy i pracowitym młodzieńcem. Sąsiadami naszymi, mieszkającymi najbliżej byli państwo Malcowie. Mieli troje dzieci: Janinę, Jadwigę i najmłodszego - Mieczysława. W Koladyczach zamieszkiwali też osadnicy: Nestorowiczowie, Kodrębscy, Kaleńczukowie, Dowgielowie, Średniccy, Launhardtowie, Litewscy, Wysocy, Głębiccy, oraz inni których nazwisk nie pamiętam.

Pod koniec 1928 roku mama ponownie wyszła za mąż za Seweryna Terlikowskiego, POW-iaka, rodem z Chybowa (pow. siedlecki). Wywodził się ze środowiska wiejskiego, a jako zagorzały piłsudczyk bardzo szybko zżył się ze społecznością osadników wojskowych Koladycz. Wiele czasu poświęcał ćwiczeniom konnym „Kraakusów”.

Rodzina Dąbrowskich z Wilna, do wojny 1939 r. utrzymywała z nami łączność. Babcia Felicja w pełnej serdeczności korespondencji do mojej mamy pouczała ją, aby po śmierci swego pierwszego męża za mocno nie rozpaczała. Aby nie ucierpią na tym harmonia ponownego małżeństwa. W jednym z listów z 1928 roku pisała m.in.: „Tylko Ty Drogie Dziecko, nie bardzo wspominaj Tadzia przed narzeczonym i nie płacz, bo jemu przykro będzie. Pomyśli, że Ty jego wcale nie kochasz. To co masz w sercu, to niech tylko Bóg wie”. Przestroga ta świadczy o dużej mądrości życiowej babci.

Na terenie Koladycz wiele pracy musieli włożyć osadnicy na zagospodarowanie swoich działek. Mama z drugim mężem nadrabiali powstałe opóźnienia. Wkrótce stanął ładny drewniany domek i budynki gospodarcze. Posadzono drzewa owocowe i krzewy. Była też mała pasieka. Przed domkiem pojawiły się piękne rabaty kwiatów. Niedaleko od domu, na obszarze czterech hektarów, rozciągał się las, który graniczył z polem i lasem hrabiego Branickiego i działką generała Wołaciewicza.

W czwartym roku mego życia przyszedł na świat brat przyrodni, Zdzisław. Przypominam sobie pewien epizod związany z bratem. Było to w okresie żniw. Piękna pogoda, słońce jasno świeciło, opalało. Byłam z rodzicami na polu. Kłosa złotego zboża pokrywały moją głowę i buzię. Pamiętam, jak dużo było w zbożu kolorowych maków i chabrów. Tatuś kosił, a mamusia z Marysią (Białorusinką) odbierały. Ja siedziałam pod kopą zboża ze swoim braciszkiem. Tak „sumiennie” go pilnowałam, że Zdzisio rozplakał się - a ja przy nim również. Wołałam rozpaczliwie: „Mamusi, Zdzisio płacze!”. Taka to była ze mnie pomoc. Grzmoty i ulewa zgoniły nas z pola.

Osiągnąwszy wiek jednego roku i ośmiu miesięcy brat mój zmarł. Zostałam sama. W siódmym roku życia poszłam do szkoły w Koladyczach. Naukę zorganizowano w drewnianym budynku i tu realizowano program czteroklasowy. Odległość do szkoły od naszej osady wynosiła około trzech kilometrów. W zimie odwoził mnie tata saniami. Pokonywanie takiej odległości było uciążliwe zarówno dla uczniów, jak i ich rodziców. Pamiętam, jak mijaliśmy stojącą opodal za szkołą kurną chatę z dziurą w dachu, bez komina. Takie widoki nie były czymś wyjątkowym na tym terenie.

W miasteczku Piaski moja ciocia Helena - siostra mego taty Teodozjusza - wraz z mężem Stanisławem Chomiczewskim byli nauczycielami. Wujek był kie-

rownikiem szkoły. To oni wyszli z inicjatywą bym na czas nauki zamieszkała u nich, co się wkrótce stało. Co tydzień odwiedzali mnie rodzice. Wujostwo mieli dwoje dzieci - dziewczynkę Genię i młodszego o dwa lata chłopca Stasia. Ciocia oddała nas do drugiej klasy, w której wychowawczynią była jej koleżanka. Pamiętam jak w szkole podawano nam tran. Ja z Genią niezbyt lubiliśmy tę odżywkę. Za to Staś chętnie wypijał nasze porcje. Dzięki temu nie chorował i był bardzo silny. W Piaskach u rodziny było mi bardzo dobrze i byłabym spokojna, gdyby nie



Autorka wspomnień Karolina Teodozja Sarnowska (w środku) z rodzeństwem cioteczynym - Genią i Stasiem przed szkołą w Piaskach, rok 1935.

choroba mamusi. Rodzicom coraz trudniej było prowadzić gospodarstwo rolne, zapadła więc decyzja, by czasowo podjąć inną pracę, i zarazem zmienić miejsce pobytu.

Działkę oddano w dzierżawę panu Leonowi Wysockiemu. Spisano stosowną umowę. W 1935 roku przenieśliśmy się do Warszawy. Tutaj wszyscy Polacy, dzieci i dorośli, nosili wówczas czarne opaski na rękawach jako wyraz żałoby po śmierci Józefa Piłsudskiego.



Basia Launhardt – rok 1939

Na Kresy, do swych zacisznych Kola-dycz, przyjeżdżaliśmy na wakacje. Wspañiale tam wycoczywaliśmy. Tak było do roku 1939. W Kola-dyczach mieliśmy sympatycznych sąsiadów, państwa Kodrębskich. Pan Kodrębski był emerytowanym pułkownikiem WP. Jego żona pochodziła z ziemiańskiej rodziny. Mieli córkę Helenę i syna, który zginął przed wojną w katastrofie lotniczej. Helena, z męża Launhardt, była z zawodu nauczycielką. Małżeństwo to nie było udane. Launhardt, krótko przed wojną, opuścił żonę i córeczkę. Wyjechał do Niemiec. Z ich córką Basią byłam bardzo zaprzyjaźniona. Pani Launhardt zamieszkała w Radości koło Warszawy i tam uczyła w szkole. Basia także co roku wy-

jeżdżała na Kresy do dziadków na wakacje. Był lipiec 1939 roku. Mile spędziliśmy upalne lato. Na wiadomość, że na początku sierpnia mamy wracać do Warszawy, Basia zasmuciła się, gdyż ona jeszcze zostawała. Z powodu naszego wyjazdu smutni byli też jej dziadkowie. Później wraz z dziadkami Basia była wywieziona do Rosji.

Ostatecznie w połowie sierpnia zaplanowany był nasz odjazd. W drodze powrotnej postanowiliśmy wstąpić do Ruskowa do rodziny. Pociąg ze stacji Roś do Platerowa odjeżdżał w nocy. Nasz pan dzierzawca odwoził nas do stacji wozem konnym. Było już ciemno, ale ciemności rozjaśniał księżyc. Przed odjazdem nasz pies Filut został zamknięty w stodole, aby nie urwał się z łańcucha. Wył żałośnie, żegnając nas. Wyjechaliśmy poza ogród, przy głównej drodze zatrzymaliśmy się, aby pożegnać przyjaciół. Najbardziej wzruszające było dla mnie pożegnanie z Basią. Pan pułkownik Kodrębski wyszedł z rodziną, żegnali nas ze łzami. Plakaliśmy wszyscy. Gdy zniknął za nami widok żegnających nas osób, także szczekanie psa ucichło, Mamusia powiedziała: „jest tak smutno, jak gdybyśmy byli tu po raz ostatni”. Nie sądziła wówczas, że tak się stanie. W gazetach rozpisywano, że Hitler nie zaryzykuje wojny na dwa fronty, skoro pozostajemy z Francją i Anglią w sojuszu obronnym. Dotarliśmy do Ruskowa - miejscowości położonej w północno-wschodniej części powiatu siedleckiego. Zamierzaliśmy kilka dni spędzić u kuzynów. Jeszcze nie odetchnęliśmy dobrze po trudzie podróży, gdy tu, nagle, zaskoczyła nas wojna. Na niebie pojawiły się samoloty nieprzyjacielskie. W tej sytuacji ojczym, Seweryn Terlikowski, wyjechał do Warszawy. Ja z mamą pozostaliśmy w Ruskowie. Tak się stało, że nim do miejscowości tej dotarli Niemcy, wcześniej znaleźli się tu bolszewicy. Byliśmy bardzo zdezorientowani i zaskoczeni.

Pewnego dnia mama udała się po mleko do dworku dziedzica Chomnickiego. Długo nie wracała i byłam już mocno zaniepokojona, dlaczego nie wraca? Na poszukiwanie mamy wyruszył wujek, ale i po nim ślad zginął. Ktoś przybył do nas i powiedział, że sowieccy żołnierze napadli na dwór. Wyprowadzili dziedzica pod mur ogradzający dziedziniec i okropnie wymyślając prowadzili go na rozstrzelanie. Gdy mamusia zobaczyła co się dzieje, podbiegła i chwyciwszy żołnierza za rękę, w której trzymał karabin powiedziała: „Towariszcz, nie strielaj! Eto charoszy człowiek”. On zaś zadał pytanie: - „A on kto dla ciebia?” - „Dla mnie jest on obcym człowiekiem, ale bardzo dobrym człowiekiem i sprawiedliwym”. Słyszeli to inni ludzie i wołając, poparli mamę. Żołnierz zwracając się do niej, powiedział: - „Kak charoszy, to biery! Krwiopijca!”. Dziedzic Chomnicki - w podeszłym już wieku - stał błądy i przerażony. Mamusi drżały nogi. Wzięła go pod ramię i po schodach wprowadziła do dworu. Za moment upadła, zemdląła. Gdy oprzytomniała, zorientowała się, że leży w salonie na kanapie. U nóg siedziała pani Chomnicka. Powiedziała: - „Biedna, biedactwo Jadziu, to tak jak twoja mamusia”. Gdy to mówiła, przez pokój pszechodził dziedzic z palcem na ustach. Mamusia zroszowała co to miało znaczyć. Gdy jedni chcieli rozprawić się z właścicielem ziemskim inni rabowali, a bydlę przeganiali przez Bug. Tę noc dziedzice spędzili u życzliwych gospodarzy.

Smutny i ciężki czas udręk okupacji przeżyłam z rodzicami w Warszawie. Wyjechaliśmy wprawdzie z Kresów przed gehenną ciemności, ale nasi przyjaciele tam pozostali. Później po deportacji do oblasti archangielskiej dręczeni i męczeni ciężko pracowali przy karczowaniu lasów, za głodowe racje żywności, z których mieli utrzymać siebie i swoje rodziny. Tam zmarł p. pułkownik Kodrębski. Jego żona z Ar-

mią Andersa przedostała się do Anglii, gdzie zmarła w polskim ośrodku dla starców. Wnuczkę Basię podobno przywieziono z zesłania do Warszawy w wyniku interwencji (jej stryja, Niemca, komandora) u samego Goeringa.

Pan Malec, nasz sąsiad został przez milicję białoruską wyprowadzony za wieś i w okrutny sposób zamordowany. Pani Malcowej udało się uniknąć wywózki ponieważ była Białorusinką. Po wojnie wraz z dziećmi została repatriowana do województwa wrocławskiego. Dalszych losów tej rodziny nie znam. Ostatnią korespondencję od niej - list i zdjęcia - otrzymałam z Koladycz na przełomie 1943/1944 roku. Odpisałam i wysłałam też zdjęcia.

Nie wiem, czy dotarli do miejsca przeznaczenia. W roku 1940 odnalazła nas w Warszawie pani Helena Launhardt, matka Basi. Ofiarowała nam rodzinne fotografie. Dowiedziałam się, że Basia wyszła za mąż i podobno ma dwóch synów bliźniaków. Mieszka gdzieś w Warszawie. Dalszych jej losów nie znam. Nasz drogi dzierżawca p. Leon Wysocki został zamordowany w domu w dniu deportacji osadników.

Nasza rodzina tych katuszy uniknęła.

Wspomnienia te zostały napisane na podstawie posiadanych dokumentów, relacji najbliższych osób oraz własnych przeżyć.